Chcę jeszcze trochę pograć



Po koncercie Andrzeja Olejniczaka i „Adzika" Sendeckiego w Piwnicy pod Baranami w ramach Summer Jazz Festival 2018, muzycy wraz z gośćmi przenieśli się do Jazz Clubu „U Muniaka". W Piwnicy był juz Michał Urbaniak. Dyrektor Festiwalu, Witold Wnuk korzystając z okazji zaaranżował „jam session". Mimo późnej pory, spontaniczny koncert wyszedł fantastycznie. Tak jak chciał Janusz Muniak, jego klub wciąż działa i przyciąga młodych ludzi. Na zdjęciu Andrzej Olejniczak (z lewej) i Michał Urbaniak (z prawej) wraz z młodymi adeptami jazzu, fot. Jacek Gwizdka.

Z Januszem Muniakiem rozmawia Bożena U. Zaremba.

Kraków 2006 r., ulica Floriańska 3, tuż przy Rynku Głównym. W bramie przeciskamy się przez stoisko z okularami przeciwsłonecznymi i parasolami – w Krakowie trzeba być przygotowanym na każdą pogodę. Potem kantor wymiany walut, po prawej drzwi do podziemia. To chyba tu. Jest wywieszka, właściwie skromna kartka – dzisiaj gra Janusz Muniak. Piwnica taka jak wiele w krakowskich kamienicach Starego Miasta, a jednak inna. Jakby inna temperatura. Dosiadamy się z mężem do dwóch, jak się okazało, Amerykanów. Jeden z nich to daleki krewny samego Stana Getza. Dla nich klub „U Muniaka" to jedno z miejsc, które koniecznie trzeba w Krakowie „doświadczyć"; w końcu w plebiscycie „Jazz Forum" na najlepsze kluby jazzowe w Polsce jest na samym topie.

Mąż popija „Jazz Mana", ja w końcu decyduję się na „Summertime". Bez specjalnych zapowiedzi pojawia się na scenie kilku muzyków, a między nimi niewysoki, niepozorny, Janusz Muniak, który, gdy zaczyna grać staje się wielki. Taki mały wielki człowiek. W czasie przerwy próbuję namówić go na rozmowę. Niezbyt chętnie, bo wspominek nie lubi, ale w końcu się zgadza porozmawiać o swoim Klubie jazzowym. O klubie, podkreśla, nie restauracji.

Janusz Muniak:

U nas szczególnie ważne jest to rozgraniczenie. Restauracja służy gościom w sposób wiadomy, natomiast generalną zasadą i powinnością tego miejsca jest uprawianie muzyki.

Bożena U. Zaremba:

Niedawno pewien znany polski jazzman szczycił się tym, że on nigdy nie grał do kotleta. Czy rzeczywiście przynosi to ujmę?

Według mnie, nie. Tyle, że w naszym kraju, w naszej mentalności, jest to inaczej pojmowane – że w restauracji gra się gorszą muzykę. Ale na przykład w Ameryce, jak wiem, grywa się jazz w hotelach, czy w salach, gdzie podaje się różne rzeczy. Przecież to nie miejsce świadczy o tym czy muzycy grają dobrze czy nie. Można przecież grać kiepsko w filharmonii. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia, gdzie się gra.

W końcu jazz był w swych początkach muzyką „użytkową", graną przez wiele lat po prostu do tańca...

Nawet muzyka poważna, którą gra się teraz w filharmonii, niekiedy służyła do tańca. Tym co mówią, że do kotleta nie wypada grać, mogę więc powiedzieć, że, odwracając jakby sytuację, nic nie szkodzi, jeżeli w miejscu, w którym się gra,

można zjeść kotleta, który jest jedynie dodatkiem. Mnie nie przeszkadza, że ludzie jedzą w trakcie grania. Raczej to, że nie wiedzą, jak się zachować. Najgorsze są zorganizowane wycieczki – straszliwie hałasują. Kompletny brak szacunku dla miejsca. Jedynie Amerykanie wiedzą, gdzie przychodzą.

Jak zrodził się pomysł otwarcia klubu jazzowego „U Muniaka”?

Pomysł ten za mną chodził od długiego czasu. Kiedyś był w Krakowie taki mały klub jazzowy przy ulicy Św. Marka, „Helicon”, gdzie ja, jako młody chłopak stawiałem swoje pierwsze muzyczne kroki. Przez ten, historyczny już, klub przewinęło się wielu znakomitych, do dziś grających i uznanych muzyków. Była to taka wylęgarnia wspaniałych jazzmanów. Wreszcie władzom komunistycznym nie spodobało się, że tu się rozwija taka enklawa wolności i klub został zamknięty w 1968 roku. Mnie zaświtał taki pomysł, żeby reaktywować coś na kształt tego właśnie klubu, gdzie muzycy jazzowi mogą się spotykać i grać.

Klub „U Muniaka” istnieje od 1992 roku. Czy napotkał Pan na jakieś problemy przy jego prowadzeniu?

Gdybym wiedział co mnie czeka, to bym szybko biegł w odwrotną stronę. To jest bardzo wielkie szczęście dla człowieka, że nie wie

co go czeka, bo by z wielu rzeczy zrezygnował. Sprawy, które się działy zaraz po założeniu klubu były wręcz skandaliczne, łącznie z zagrożeniem mojego życia, ale nie chciałbym o tym wszystkim mówić. Faktem jest, że przez to przebrnąłem, że się uodporniłem. Nawet na to, że ludzie najbardziej zaufani mogą zawieść na całej linii. To się uciszyło, klub istnieje, głównie dzięki wspaniałemu Januszowi Lunzowi, [który zajmuje się stroną biznesową Klubu]. Przy tym nie jest pazerny, on po prostu polubił muzyków i to co się tutaj dzieje. Nie jest on wcale łagodnym facetem i nie może być. Bez niego to ja bym się zupełnie wyłożył na plecy.

Czy prowadzenie Klubu jest nadal uciążliwe?

Wiele trudności na szczęście zelżało. Natomiast na biurokrację nie ma rady. W mentalności urzędników kuchnia przynosi zyski, a przecież w moim Klubie jest ona tylko dodatkiem. Przez dwa lata chodziłem do urzędu tłumaczyć, że tutaj sprawą pierwszoplanową jest muzyka. Wywalczyłem w końcu stawkę preferencyjną [na wynajem lokalu]. Przychodzi jednak następna zmiana kadencji i wraz z nią podwyżka czynszu o 400%. Ale nie ma co narzekać. Żyjemy w końcu w czasach wielkich przemian. Co jest bardzo satysfakcjonujące to to, że z biegiem czasu młodzi muzycy jakoś przylgnęli do tego miejsca i bardzo lubią tutaj być i grać, tutaj szlifują swoje umiejętności, zakładają swoje grupy.

Jak wygląda zapraszanie gości do grania w Klubie?

Na początku były problemy, musiałem dzwonić, prosić. Ale teraz to ja w ogóle nie muszę się przejmować kto będzie grał, dlatego, że ci młodzi muzycy sami to organizują. Oni mnie znakomicie poznali, a ja ich, nie ma żadnych scysji, jak to nieraz w tym środowisku bywa. Ja traktuję ich jak własne dzieci, a oni traktują mnie jak ojca. Relacje są po prostu znakomite. Od dziecka marzyłem, poprzez wrodzone lenistwo, o takim *perpetum mobile* – żeby raz wpuszczone w ruch, samo się kręciło. I to w tym kontekście się bardzo dobrze sprawdziło. Żadnych podpisów, żadnych legitymacji, żadnych zobowiązań. I jeszcze, żeby ludzie sobie wierzyli i nawzajem się szanowali. I to udało mi się tutaj stworzyć.

Młodzi muzycy nie tylko występują u Pana w Klubie, ale także na ostatnich Pańskich płytach. Czy wynika to z chęci ich promowania czy też czerpania inspiracji z młodego pokolenia muzyków?

Postępuję trochę jak dziecko. Żadnego wyrachowania, kalkulowania. To odbywa się zupełnie naturalnie. Oni po prostu tutaj są. Gramy razem, z biegiem czasu to się wyszlifuje i okazuje się, że można z tego zrobić jakiś materiał. I wtedy coś nagrywam.



Jazz Club „U Muniaka”, Andrzej Olejniczak (saksofon), w tle fotografia Janusza Muniaka, lipiec 2018, fot. Jacek Gwizdka.

W Klubie zagrało wielu wybitnych polskich jazzmanów – Tomasz Stańko, Zbigniew Namysłowski, Jarosław Śmietana, Andrzej Jagodziński, Wojciech Karolak. Gościli tutaj także Wynton Marsalis i Nigel Kennedy…

Też Ravi Coltrane, syn Johna Coltrane'a. Świetnie tutaj zagrał i był bardzo zadowolony. Ale te nazwiska można by mnożyć. Ja nie tworzę pamiętników i nie mam tak całkiem świadomości kto tu występował. My nie mamy możliwości, żeby na przykład z Ameryki sprowadzić gościa specjalnie. Ale jeśli jest jakaś większa impreza, ktoś ich sprowadzi do Krakowa, to przy okazji przychodzą pograć do mojego Klubu. Marsalis tak właśnie tutaj trafił. Sam chciał tutaj zagrać. Grał dwa dni, o pieniądze nie pytał. I tak wielu muzyków amerykańskich przewinęło się przez Klub. W tej chwili w Stanach wielu muzyków ma świadomość jego istnienia.

Tak więc wiele koncertów odbywa się spontanicznie i bezplanowo...

W zasadzie tak, bo plany często nie wypalają. Nie robimy hucznych, spektakularnych imprez, bo uważam, że chleb powszedni, czyli kromka chleba i szklanka wody są człowiekowi najbardziej potrzebne.

Mówiąc o chlebie powszednim – czy jazzman jest w stanie wyżyć z muzyki?

To pytanie towarzyszy muzyce odwiecznie. Ja powiem, że to nie jest łatwe życie, to jest ryzyko. To nie jest tak jak pracuje się w fabryce, jest etat, są związki zawodowe, które bronią

pracownika. My też przeżyliśmy związki. Ale jeżeli człowiek sobie sam nie pomoże to nikt mu nie pomoże. Jedni narzekają, że nie mogą wyżyć, że mają mało pracy. Muzyk w końcu ma pracę, kiedy go zaproszą tu czy tam. Albo musi mieć menadżera. Ja nie mam menadżera. Poza tym, z wiekiem, moje wymagania się uspokoiły. Wystarczy, że ten Klub istnieje. Ta cała ekipa to nie są ludzie, którzy przyszli się tutaj dorobić. My moglibyśmy łatwo opuścić ręce i powiedzieć – to się nie opłaca. Bo to się nie opłaca. Ale popatrzmy na to ile tutaj młodych ludzi przychodzi, chcą grać i nie pytają o pieniądze. Trudno znaleźć takie miejsce. Coś ich tutaj przyciąga. Ja sam nie wiem co. Faktem jest, że oni chcą tu grać. Może to miejsce da im szansę wyjścia dalej na estradę. Mogą tutaj swój indywidualny program tworzyć i potem realizować go poza Klubem.



Jam session w Jazz Clubie „U Muniaka”, lipiec 2018 r., fot. Jacek Gwizdka.

Czy Klub ma jakiś sponsorów?

Nie, żadnych.

A państwo – czy jest pomocne?

Nie, bo nasze ustawodawstwo nie przewiduje pomocy indywidualnej osobie. Pomoc przewidziana jest dla związków czy stowarzyszeń. A ja się z tego wyleczyłem, ponieważ mam złe wspomnienia z założonej przeze mnie fundacji. Uważam, że im więcej paragrafów i podpisów tym więcej bałaganu. W Klubie w tych sprawach ograniczyliśmy się do minimum. Poza tym, nie ma co oglądać się na pomoc państwa czy kogokolwiek; trzeba wziąć sprawy we własne ręce i liczyć przede wszystkim na siebie.

W tym roku w Krakowie odbył się dziesiąty już Letni Festiwal Jazzowy Piwnicy pod Baranami. Nota bene, Pański kwartet zagrał na koncercie inauguracyjnym tego festiwalu. W ostatnich latach festiwal ten bardzo się rozrósł, jest też w Krakowie więcej koncertów i klubów jazzowych działających na stałe. Więc jednak coś się dzieje…

Z tymi klubami jest różnie, jedne są mniej inne bardziej jazzowe. A to, że Witkowi Wnukowi udaje się robić ten festiwal to

wspaniale. Ja jednak jestem tylko muzykiem i nie zajmuję się menagementem. To jest moje mistrzostwo, że tutaj wszystko samo się organizuje. Ja chcę tylko jeszcze trochę pograć.

Janusz Muniak zmarł 31 stycznia 2016 r.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim" w Nowym Jorku w styczniu 2006 r.

Zob. też:

http://www.cultureave.com/koncert-andrzeja-olejniczaka--i-vladyslava-adzika-sendeckiego-w-piwnicy-pod-baranami/

Koncert Andrzeja

Olejniczaka
i Vladyslava „Adzika”
Sendeckiego
w Piwnicy
pod Baranami



Od lewej: „Adzik" Sendecki i Andrzej Olejniczak, fot. Jacek Gwizdka.

W ramach krakowskiego Summer Jazz Festival, 5 lipca 2018 r. w Piwnicy pod Baranami odbył się niezwykły koncert Andrzeja Olejniczaka (saksofon) i Vladyslava „Adzika" Sendeckiego (fortepian). Obydwaj artyści od wielu lat mieszkają za granicą.

Andrzej Olejniczak to jeden z najbardziej uznanych polskich

saksofonistów jazzowych na arenie międzynarodowej, kompozytor i aranżer, a także wykładowca. Ma na koncie około 50 płyt. Od 30 lat mieszka w Hiszpanii.

Urodził się w 1954 r. w Zduńskiej Woli. Edukację muzyczną rozpoczął w szóstym roku życia. Uczył się gry na fortepianie, później sięgnął również po klarnet i saksofon. W 1976 r. ukończył z wyróżnieniem Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Łodzi w klasie klarnetu. Studiując muzykę klasyczną, zaczął interesować się również jazzem oraz pokrewnymi stylami muzycznymi.

Był współzałożycielem grupy *Sun Ship* oraz członkiem jednej z najlepszych formacji jazzowych ostatnich dekad – *String Connection*. Współpracował niemal ze wszystkimi zespołami sceny jazzowej lat 70. i 80., m.in. *Extra Ball, Swing Session, Novi Singers, Big Bandem Katowice*, a także z *Big Bandem Polskiego Radia* pod dyrekcją Andrzeja Trzaskowskiego oraz Zbigniewem Namysłowskim, Andrzejem Dąbrowskim i Sławomirem Kulpowiczem. Jako muzyk sesyjny grał z takimi artystami jak Józef Skrzek czy Maanam.



Andrzej Olejniczak podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.

Po wyjeździe do Hiszpanii w 1984 r. podjął współpracę z należącym do elity światowego jazzu ociemniałym pianistą Tete Montoliu i przez 4 lata koncertował z nim na wielu europejskich festiwalach. W 1986 r. wystąpił u boku Gerry'ego Mulligana

na festiwalu jazzowym w San Remo, a 2 lata później zagrał z Kenny Drew Trío na Festival de Jazz de Lorca-Murcia. Catch (1994), jego pierwszy autorski album nagrany w Hiszpanii, zdobył tytuł Płyty Roku, a Live at Altxerri (2004) został wysoko oceniony przez „Jazz Forum".

Brał udział w niezliczonych projektach międzynarodowych, występując na niemal wszystkich festiwalach w Europie i na świecie (m.in. Mediolan, Paryż, Montreal, San Sebastian, Lima, Marciac, Quito). Wśród artystów, z którymi koncertował, są m.in. Kenny Drew, Randy Brecker Group, Hiram Bullock, Joe Newman, Horace Parlan, Lou Blackburn, Oliver Jackson, NHO Pedersen. Często współpracuje także z czołowymi hiszpańskimi wykonawcami muzyki pop i rock, np. Orquesta Mondragón, Mecano, Miguel Ríos, Manzanita, Itoiz, Oskorri, Revolver.

Artysta wykonuje również muzykę klasyczną. Zrealizował m.in. dwa projekty muzyczne z Orkiestrą Symfoniczną z Bilbao (1995, 2006), a płytę Different Choice (2010) nagrał z kwartetem smyczkowym Apertus String Quartet. W 2013 r. wystąpił z Polską Orkiestrą Radiową pod batutą Krzesimira Dębskiego w Studiu Koncertowym im. Witolda Lutosławskiego.

Mieszka w Hiszpanii, gdzie nagrywa i koncertuje, a także uczy gry na klarnecie i saksofonie w Centro Superior de Música del País Vasco „Musikene" w San Sebastian oraz w Conservatorio

de Leioa.



Andrzej Olejniczak podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.

Vladislav „Adzik” Sendecki to wędrowiec, współczesny

pielgrzym, ciekawy różnorodności dźwięków i kultur. „Dla mnie muzyka oznacza wolność”, mówi pianista, „wolność jako wymiana myśli i emocji z publicznością, innymi twórcami, instrumentem oraz z samym sobą”.

Sztuka Sendeckiego jest nieodłączną częścią jego przeszłości. Urodził się w 1955 roku w Gorlicach. W wieku 4 lat rozpoczął naukę gry na pianinie, jako 11 letni chłopiec rozpoczął naukę w szkole muzycznej Fryderyka Chopina a później kontynuował na akademii Muzycznej w Krakowie. W wieku 15 lat odbył swoje pierwsze *tourne* jako pianista klasyczny. Kiedy Sendecki odkrył jazz, założył zespoły *Extra Ball* oraz *SunShip* tworzące z ogromnym sukcesem jazz rock, podziwiane przez polskich fanów oraz zapraszane na festiwale w całej Europie. Pomimo tego, każdy wyjazd oznaczał taką samą walkę o wizę wyjazdową. – Czułem się jak w pułapce – mówi – dlatego też podróże stawały się dla mnie bardziej i bardziej ważne, oznaczały wolność.

W 1981 roku Sendecki wyemigrował do Szwajcarii i stąd zaczął międzynarodową karierę. Odtąd grał z pierwszą ligą Jazzu, wspólnie z Joe Henderson, Lenny White, Marcusem Millerem, Randy and Michaelem Breckerem, Jaco Pastorius, Billy Cobhamem, Till Brönnerem i Klausem Doldingerem.

W połowie lat 90. przeniósł się do Hamburga, gdzie w 1996 roku został członkiem *NDR Big Band*, ku radości znanych

kompozytorów jazzowych takich jak Michael Gibbs oraz Colin Towns.

Jako kompozytor wkroczył w zupełnie nowe terytoria w 2000 roku – skomponował 10-częściową suitę na big band "Anima Mundi"; muzyczny zapis podróży z Afryki poprzez Indie, Japonię do Europy, wirtualne spotkanie kultur muzycznych, co jest unikalne w świecie jazzu. W 2009 roku suita została zaprezentowana podczas Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy pod Baranami w Krakowie.

Zajęło mu piętnaście lat, aby zebrać przeróżne dźwięki i głosy na komputerze.

– Łączę marzenie z światem bez konfliktów, w którego centrum tolerancji znajduje się człowiek, który wymyka się z barier i granic mentalnych. Stając się przestrzenią – mówi sam Sendecki. *(Tobias Richtsteig)*.



„Adzik” Sendecki podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.



„Adzik" Sendecki podczas koncertu w Piwnicy pod Baranami, fot. Jacek Gwizdka.

Organizatorem Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy Pod Baranami jest Fundacja My Polish Heart oraz Cracovia Music Agency.

Fundacja My Polish Heart powstała z potrzeby serca dwóch jej założycieli – Vladyslawa „Adzika" Sendeckiego oraz Witolda Wnuka, od lat 80. promujących rodzimą muzykę poza Polską.

Głównym celem Fundacji jest wspieranie zasłużonych artystów polskich, znajdujących się w ciężkiej sytuacji życiowej, jak i pomoc młodym, wybitnie utalentowanym muzykom, poprzez fundowanie nagród i stypendiów. Fundacja jest organizatorem koncertów i wydarzeń muzycznych oraz tworzy nowe jakości artystyczne we współpracy z prestiżowymi ośrodkami kultury w Europie i na świecie. Jest jednym z głównych organizatorów Letniego Festiwalu Jazzowego w Piwnicy Pod Baranami.

Cracovia Music Agency to firma założona w 1995 przez Witolda Wnuka zajmująca się organizacją i produkcją wydarzeń muzycznych. Od 1996 roku organizuje doroczny międzynarodowy Letni Festiwal Jazzowy w Piwnicy pod Baranami w Krakowie. W ofercie Cracovia Music Agency znajduje się szereg wydawnictw muzycznych. Dużym sukcesem wydawniczym jest czteroczęściowa seria „The Best of Cracow Jazz" jazz tradycyjny, współczesny, nowoczesny i płyta archiwalna obrazująca najlepsze dokonania jazzu krakowskiego w ostatnich 50 latach.

Wykorzystano materiał ze stron:

http://andrzejolejniczak.com/
http://vladyslavsendecki.de/
https://www.cracjazz.com/pl/festiwal/organizator/

Po koncercie w Piwnicy pod Baranami muzycy wraz z gośćmi przenieśli się do Piwnicy u Muniaka. Jednym z gości był pan Piotr Niedźwiecki – prezydent miasta Zduńska Wola, gdzie urodził się Andrzej Olejniczak, a jednocześnie brat Marka Niedźwieckiego. W Piwnicy u Muniaka był już Michał Urbaniak. Dyrektor Festiwalu, pan Witold Wnuk korzystając z okazji zaaranżował „jam session”. Mimo późnej pory, spontaniczny koncert wyszedł fantastycznie.



Michał Urbaniak i Andrzej Olejniczak podczas „jam session” w Piwnicy u Muniaka, fot. Jacek Gwizdka.

Zostawić coś w umysłach

O drugiej edycji festiwalu artystycznego „Chopin IN the City”



Grazyna Auguscik, fot. Krystyna Andryszkiewicz

Bożena U. Zaremba

> Zawsze myślę, być może naiwnie, że w młodych umysłach coś zostaje

– mówi o swojej działalności na rzecz popularyzacji muzyki Fryderyka Chopina wśród młodego pokolenia **Grażyna Auguścik** – fascynująca polska wokalistka jazzowa, która już po raz drugi organizuje w Chicago festiwal „Chopin IN the City" (22 lutego – 1 marca 2018 r.), tym razem wraz z Polsko-Ukraińską Fundacją im. Ignacego Jana Paderewskiego. Jest to wielowymiarowe przedsięwzięcie artystyczne łączące różne dziedziny i gatunki sztuki, a motywem przewodnim i głównym źródłem inspiracji jest muzyka Chopina.

A zaczęło się od pamiętnego koncertu w Millennium Park w Chicago, gdzie w 2010 roku Auguścik zaprezentowała 10-tysięcznej publiczności jazzowe interpretacje muzyki Chopina. Skład zespołu był dość nietypowy – cztery puzony, wokal, akordeon, ud (instrument strunowy uważany za przodka lutni) i harmonijka ustna. Gościem specjalnym był **Andrzej Jagodziński** i jego Trio. Wybitny krytyk muzyczny „Chicago Tribune", **Howard Reich**, który znał działalność artystyczną Auguścik z

wcześniejszych, porywających projektów muzycznych i był wielbicielem jej pięknych jazzowych interpretacji, entuzjastycznie zachęcał do tego koncertu. Występ spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności. Niecodzienne, nowoczesne aranżacje muzyki Chopina przemówiły do wrażliwości mieszkańców tego wielokulturowego miasta, a artystka do dzisiaj spotyka ludzi, którzy wspominają ten koncert jako niesamowite, magiczne wręcz przeżycie.

Od tego koncertu, występując stale w różnych formacjach wokalno-instrumentalnych, Auguścik cały czas marzyła o tym, żeby muzyka Chopina zaistniała wśród szerszej publiczności. Pierwszą edycję festiwalu zorganizowała w 2017 roku, z zamiarem przybliżenia jego muzyki różnym środowiskom i jednocześnie zarażenia i zainspirowania młodego pokolenia. Impreza trwa 8 dni, pomiędzy dwoma przyjętymi datami urodzin Chopina (22 luty i 1 marca) i prezentuje koncerty zarówno klasyczne jak i jazzowe wersje muzyki tego najbardziej znanego na świecie i najbardziej uniwersalnego polskiego kompozytora. Wystąpi między innymi jazzowa pianistka **Deanna Witkowski**, której czarowne, pełne kobiecego wdzięku interpretacje przemawiają do najbardziej nawet tradycyjnych melomanów.

Poza tym w programie są instalacje, prezentacje sztuk wizualnych, poezja, a nawet taniec nowoczesny. Na przyszły rok organizatorka planuje występ teatralny, który dałby młodym

ludziom szansę opowiedzenia o muzyce ich własnym językiem, bo, mimo że festiwal jest skierowany do szerokiej publiczności, organizatorka zawsze myśli o stworzeniu projektów skierowanych szczególnie do młodego pokolenia. W tym roku, na przykład, dzieci z „Fabryki Wyobraźni PatriciaArt Studio" będą malować podczas koncertu, inspirowane muzyką Chopina. Odbędą się także warsztaty plastyczne, prowadzone przez polskiego artystę rzeźbiarza **Andrzeja Renesa**.

Jednym z bardziej niekonwencjonalnych artystów, którzy wystąpią w tym roku będzie **Maria Pomianowska**, ceniona na całym świecie wykonawczyni na starodawnych instrumentach smyczkowych (grała między innymi z Yo-Yo Ma), która zagra na suce biłgorajskiej. Jest to staropolski 4-strunowy instrument smyczkowy, zrekonstruowany na podstawie akwareli Wojciecha Gersona z 1895 roku, a przechodzący w ostatnich latach istny renesans. **Maria Pomianowska** weźmie udział między innymi w koncercie „Mazurki" poświęconemu tej formie muzycznej, podczas którego wystąpi także młody pianista **Alexander Kraft van Ermel**. Wychował się na wyspie Curaçao na holenderskich Karaibach, z którą związana jest niesamowita wręcz historia, opisana w książce Jana Brokkena „Dlaczego jedenastu Antylczyków klęczało przed sercem Chopina?" Otóż okazuje się, że na wyspie Curaçao Chopina można usłyszeć w radiu prawie równie często jak w Polsce. Dotarła ona tutaj za sprawą pewnego pianisty, który przywiózł ją z Paryża już w 1860 roku, po czym

przeszła na wyspie nietypową transformację, kiedy lokalni kompozytorzy zaadoptowali mazurki Chopina do tańca. Stąd echa i odcienie muzyki Chopina są wyraźnie słyszalne w tzw. „antylskich mazurkach".

Sama **Grażyna Auguścik** również wystąpi podczas kilku koncertów festiwalu. Oprócz muzyki Chopina to właśnie jej oryginalny głos będzie elementem wiążącym tego wydarzenia, jak również entuzjazm z jakim podchodzi do organizacji festiwalu, a trzeba przyznać, że posiada fantastyczny dar wynajdywania niestereotypowych artystów, inspirowania ich do niebanalnych projektów i zarażania ich swoją kreatywnością. Nie zniechęca się trudnościami związanymi ze zbieraniem funduszy zdając sobie świetnie sprawę z tego, jak sztuce niszowej ciężko konkurować z muzyką użytkową, popularną, czy nawet poważną. Zależy jej na dotarciu do młodych ludzi, którym tego typu muzyka jest w ogóle nieznana. – To misja, moja i takich ludzi, jak ja – mówi.

W tym roku festiwal „Chopin IN the City" jest finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Nagrodowego w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2021, oraz przez program dotacyjny „Kulturalne pomosty" Instytutu Adama Mickiewicza.

24 lutego będzie można na żywo posłuchać koncertu przez Internet:

https://www.youtube.com/watch?v=_-bV-Vwl4W4&feature=youtu.be

Artykuł Howarda Reicha:

http://articles.chicagotribune.com/2010-07-23/-entertainment/ct-ott-0723-mkoj-20100723_1_polish-musicians-vocal-jazz-swings

Pełny program festiwalu:

http://soundsandnotes.org/event/chopin-in-the-city--february-22-march1-2018/

Jeżeli chcesz wesprzeć festiwal, tutaj możesz złożyć dotację, którą można odpisać od dochodu:

https://www.gofundme.com/chopininthecity



Grażyna Auguścik – wokalistka jazzowa, aranżer i producentka muzyczna – zdobyła uznanie krytyków i wielbicieli muzyki jazzowej swymi oryginalnymi, świeżymi interpretacjami oraz głosem o niepowtarzalnym brzmieniu. Sięga po różne gatunki muzyczne i czerpie inspiracje zarówno z muzyki klasycznej (znane są niebanalne wersje utworów Chopina) jak i z polskiej muzyki ludowej oraz muzyki światowej. Swoim śpiewem i projektami muzycznymi, jakie organizuje, przekracza muzyczne granice, łamie bariery i kwestionuje przyjęte standardy. Urodziła

się i wychowała w Polsce. W 1992 r. ukończyła prestiżową uczelnię Berklee College of Music w Bostonie, po czym osiedliła się w Chicago, które zachwyciło ją bujnym życiem artystycznym i kosmopolityczną atmosferą. Od lat współpracuje z czołowymi muzykami jazzowymi takimi jak Pauhlino Garcia, Jim Hall, Michael i Randy Brecker, Toots Thielemans, Urszula Dudziak, John Medeski, Kurt Rosenwinkel, Michal Urbaniak, Andrzej Jagodzinski, Jaroslaw Bester i wielu innych. Nagrała 20 płyt solowych, a jako gość wystąpiła na kilkunastu nagraniach innych muzyków. Jest założycielką i dyrektorem artystycznym fundacji Sounds & Notes, organizacji typu „non-profit" zajmującej się promocją muzyki i sztuki. Jest laureatką dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2011) oraz srebrnego medalu Gloria Artis przyznawanego przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2017).

Nauczyciel muzyki

Felieton muzyczny 2



Adam Fiala

Nauczyciel muzyki był garbaty i miał bardzo duże dłonie, białe, ale miejscami bardzo przyżółcone od papierosów. Podziwiałem jego palce, długie, wrzecionowate, obejmował z łatwością trzynaście białych klawiszy, ja nieco ponad oktawę. Nie wiem jakie były koleje jego losu, urodził się w biednej i licznej rodzinie, ale odkryto w nim talent muzyczny. Zrozumiał jednak, że garb nie pozwoli mu zostać wirtuozem i dlatego wziął się za nauczanie. Narzekał na moje pianino marki „Danzing" tak rozstrojone, że nadawało się bardziej do gry w *saloonie* na

Dzikim Zachodzie. Zwałem nauczyciela Profesorem. Profesor zdecydowanie nie lubił jazzu.

Oficjalnie jazz nazywano początkowo reakcyjną muzyką, ale ktoś z autorytetów zauważył, że stworzyli go Murzyni, czyli uciskana klasa. Tak czy owak jazz powoli stał się *pop music* tamtych czasów. Później, bardzo nowoczesny, przeszedł do Filharmonii i to go w pewnym sensie uśmierciło jako muzykę pop. Jazz jest z pewnością bardziej wyrafinowany od, czasami bardzo prymitywnej, muzyki rockowej lub nie-muzyki jaką jest dla mnie na przykład bezmelodyjny hip-hop.

Nauczyciel grał fatalnie, bardzo często się mylił, uderzając w niewłaściwe klawisze. Gdy kiwał głową przewracałem mu nuty. Obydwoje często rozmawialiśmy o Józefie Ignacym Paderewskim. Ktoś o nim powiedział, że to był geniusz, który także grał na fortepianie. Paderewski w Szwajcarii przyczynił się nie tyle do tego, żeby Polska była Polską, ale żeby w ogóle powstała. Kupiłem "Dzieła Zebrane" Chopina w jego redakcji. Cena była śmiesznie niska i zabrałem się za Mazurki.

Wuj Tadeusz, znakomity adwokat i uroczy dyletant powiedział, że Mazurki będą dla mnie odpowiednie bo łatwe. Rzeczywiście papier nie był zbytnio zaczerniony nutami. Ale harmonizujące akordy lewej ręki stanowiły dla mnie sporą trudność, więc je upraszczałem, słysząc w radiu, że i tak grano je muśnięciami,

wydobywając głównie linię melodyczną. Zabawnie brzmiały te utwory na rozklekotanym, z głuchymi klawiszami i rozstrojonym pianinie “Danzing”, z mosiężnymi lichtarzami na dodatek. Ale w pewnym momencie nauka gry już mi nie szła i postanowiłem ją zakończyć. Kariera koncertowego pianisty (jeszcze nie miałem garbu choć matka mówiła, że garbacieję od tej gry) wymaga ośmiogodzinnych codziennych ćwiczeń i zapamiętania masy muzycznego materiału. Odkryłem wtedy w sobie zdolności do improwizowania. Nie wymaga to ani czytania ani zapamiętywania nut. Zacząłem nawet próbnie coś komponować, improwizując. Dowiedziałem się, że jazz też polega na improwizacji. Ale od siedzenia przy instrumencie i stukania w klawisze zacząłem odczuwać ból w plecach. Wuj nadal grał swą ulubioną “Arię na jednej strunie” Bacha. Ciągle się mylił i fałszował, ale najważniejsze, że był pełen entuzjazmu. Gdy po latach zmarł na raka wątroby profesjonalni muzycy, specjalnie wynajęci, zagrali tę arię na pożegnanie. Ale w mojej grze pojawiła się rewolucja w związku z odkryciem Elvisa. “Pomyśl, kierowca ciężarówki” zawsze tak o nim mówił wuj Tadeusz. Zastanawiałem się czy kierowca ciężarówki mógłby zostać wirtuozem, grając na skrzypcach.

Legendarna grupa rockowa SBB w Warszawie

Korespondencja muzyczna

Piotr Rajszys (tekst i fotografie)



Józef Skrzek, podczas koncertu zespołu SBB w Warszawie, fot. Piotr Rajszys.

30 czerwca 2017 roku, w amfiteatrze Bemowskiego Centrum Kultury w Warszawie, miał miejsce niecodzienny koncert, legendarnej grupy jazz-rockowej SBB, założonej przez Józefa Skrzeka. Zespół wystąpił w oryginalnym składzie: Józef Skrzek, Antymos Apostolis i Jerzy Piotrowski. Gościnnie zagrał z nimi światowej klasy amerykański saksofonista Chris Potter.

Amfiteatr Bemowskiego Centrum Kultury, to fantastyczne miejsce dla tego rodzaju koncertów. Świadczą o tym przybyłe na koncert tłumy *funów* grupy SBB, której legenda jak widać nie gaśnie.

Fotoreportaż






Zildjian
















moog








Marshall
Marshall

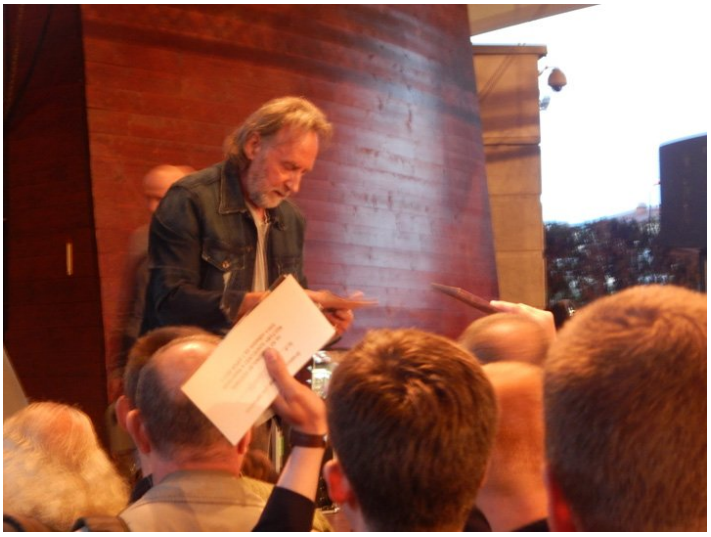



Marshall
Marshall


Marshall
Marshall


Marshall
Marshall







Próbka muzycznych emocji podczas koncertu:

https://www.youtube.com/watch?v=V-gc1JQC0tk

Więcej informacji na temat na temat zespołu na stronie Bemowskiego Centrum Kultury: http://bemowskie.pl/-wydarzenie/sbb-i-chris-potter/

Światło i sztuka

Rozmowa z Tomaszem Stańko



Tomasz Stańko, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka: „Z oddali” – tak można przetłumaczyć tytuł Pana płyty – „Lontano”. Lontano to rodzaj ciszy, a przecież są rożne cisze, które zależą od nastroju, wizji, chwili. Tak jak różne są utwory na Pana płycie, choć zespolone w jednym subtelnym klimacie. O sukcesie płyty w Ameryce świadczą pełne kluby na koncertach podczas tournee i pochlebne recenzje w amerykańskiej prasie. Proszę powiedzieć, skąd w dobie światowej ekspansji pop-kultury miejsce na tzw. wyższą sztukę, sztukę niewątpliwie trudniejszą, wymagającą odpowiedniej dozy wrażliwości?

Tomasz Stańko: Pop-kultura istnieje w społeczeństwie i trzeba to przyjąć. Ci, którzy są konsumentami np. Madonny to są ludzie, którzy kiedyś nic nie mieli. Czyli właściwie cały czas wszystko zmienia się, płynie. Gdy pojedzie się np. do Pakistanu, to tam nikt nie zwraca uwagi na estetykę, nie spekuluje, która sztuka jest wyższa, a która niższa, tylko myśli, jak przeżyć. W Ameryce ludzie nie są głodni i stać ich na zaspokojenie innej sfery życia. Ta część społeczeństwa, która konsumuje tzw. wyższe formy sztuki w odpowiedniej proporcji się powiększa, w stosunku do odbiorców pop-kultury. Świadczą o tym tłumy odwiedzające MoMA w Nowym Jorku, wzrasta ilość koncertów muzyki klasycznej, muzyki jazzowej, powiększa się ilość miłośników flamenco, które jest wyrafinowaną muzyką, coraz więcej wiemy np. o sztuce staroperskiej itd. Natomiast ta masa, która stanowi ok. 90 procent populacji, przedtem nie miała nic, a teraz ma swoją sztukę i to całkiem niezłą. Produkcje Madonny, jej „showy" są całkiem interesujące. A gdy się przyrówna do niczego, to cały czas obserwujemy progres, a to jest pozytywne zjawisko.

JSG: Jaki wpływ na brzmienie obecnego Pana zespołu ma Manfred Eicher, założyciel wytwórni płytowej ECM?

TS: Brzmienie wytwórni ECM jest bardzo bliskie mojemu, dlatego świetnie mi się pracuje z panem Manfredem Eicherem, a jego obecność podczas nagrań ma bardzo duże znaczenie. Jest on bowiem „piątym improwizującym członkiem zespołu". Jako

producent ma olbrzymie doświadczenie, a jednocześnie jest człowiekiem renesansu, który bardzo dużo wie o sztuce. Ponieważ sam nie jest praktykującym muzykiem, wobec tego swoim podejściem wzbogaca całość twórczego procesu. Byłem dzisiaj w MoMA i pomyślałem, że wielcy kolekcjonerzy, którzy fundują sale i kuratorzy wystaw, są artystami. Oni z wielu elementów budują całość. Wszystko na tym świecie się powiększa, od luźnych ludzkich grup, mamy olbrzymie społeczeństwa, a niedługo będziemy gatunkiem, który zasiedla kulę ziemską – jednym organizmem, w którym wszystko żyje w symbiozie. W związku z tym producenci tacy jak Manfred Eicher, to są pojedyncze osoby, które budują swój estetyczny wizerunek muzyki poprzez własną wytwórnię, mając do dyspozycji największych muzyków. Dogląda on więc każdego swojego nagrania, żeby widzieć całość. Ja to porównuję do olbrzymiego klejnotu, złożonego z milionów diamentów i innych szlachetnych kamieni, szlifowanych przez najlepszych szlifierzy. Manfred Eicher buduje taki wielki klejnot, który jest wypadkową jego estetyki, jego umiłowania piękna.

JSG: Pana muzykę można rozpoznać już po kilku taktach, po charakterystycznym lekko chropawym brzmieniu trąbki. Jak ewoluowało to Pana brzmienie?

TS: Moje brzmienie powstało w pewien naturalny sposób, może to ja taki jestem, a może to jazz taki właśnie jest. Swoje

brzmienie mieli Charlie Parker, John Coltrane, Miles Davis czy Louis Armstrong, jest ono częścią naszej techniki, naszej osobowości. Zawsze zwracałem uwagę na brzmienie. Wydaje mi się, że głównie zależy ono od przeżycia, własnego wnętrza, od bogactwa, od wrażliwości – odzwierciedleniem tego wszystkiego jest właśnie dźwięk. Myślę, że dźwięku nie traci się z wiekiem, dźwięk jest w głowie, a nie w mięśniach czy w zadęciu. Dźwiękiem można prawie wszystko wyrazić, każdy nastrój, każdą emocję. Do tego dochodzą pewne aspekty techniczne, np. lubię nie stroić instrumentu, gram czasami trochę za wysoko, albo trochę za nisko, osiągam wtedy innego typu alikwoty i inną głębię. Gdy gram troszkę niżej, osiągam ciemniejszy nastrój, gdy natomiast gram wyżej mam bardziej jasny „sound".

JSG: Czy zgodzi się Pan z określeniem, że Pana brzmienie łagodnieje?

TS: Łagodnieje? Może i mógłbym tak powiedzieć, a może ściślej, nie łagodnieje, lecz powiększa się o coraz więcej alikwotów. Używam teraz szerszego brzmienia, lubię grać ballady, choć ta charakterystyczna chropowatość będzie zawsze moja.

JSG: Jak według Pana album „Lontano" ma się do poprzednich płyt, nagranych dla wytwórni ECM w z tym samym Kwartetem – „Soul of things" i „Suspended Night".

TS: Płyta „Lontano” jest improwizowaną trzyczęściową kompozycją i układa się w logiczny tryptyk. Mimo, że w swym lirycznym i melancholijnym charakterze zbliża się do poprzednich, jest według mnie najbardziej dojrzałą i sumującą okres, w którym koncertowałem z Kwartetem w tym składzie.

JSG: Muzyczny termin „lontano” określa rodzaj „piano”. Czy zatem tytuł płyty ma sugerować rodzaj ciszy i spokoju, która znajduje się w Pana kompozycjach?

TS: Nie było moim zamierzeniem, aby tytuł cokolwiek sugerował, gdyż dla mnie najpiękniejszą stroną muzyki jest jej abstrakcyjność. Do tej pory nagrywałem wariacjami i dawałem tytuł całej płycie. Tym razem spróbowałem wrócić do klasycznej formy konwencji i nadałem tytuły poszczególnym utworom. Starałem się, aby dany tytuł oddawał nastrój utworu, choć dla mnie ta literacka strona nie jest aż tak bardzo ważna. W tytule ważne jest brzmienie słowa, nastrój słowa i nastrój znaczenia słowa. Nadaję więc tytuły z niedopowiedzeniami, jak np. „Suspended Night”, czy teraz „Lontano” czyli „z oddali”.

JSG: Dla odbiorcy podczas koncertu Pana zespół jest jednym muzycznym organizmem z wiodącym i wnikającym głęboko głosem trąbki i wydaje się, że ten akt twórczy jest niepowtarzalny, że jesteśmy uczestnikami rodzącej się za każdym razem na nowo sztuki. Czy Pan też ma takie uczucie?

TS: Tworzenie muzycznego spektaklu łatwo można przyrównać do aktorstwa. Każdy wieczór jest inny, każde wykonanie jest inne. Myślę, że muzyka płynie i ewoluuje w różnych kierunkach. Od wydania płyty, która jest kluczem do jej promocji na koncertach ciągle się zmienia, raz jest bardziej dynamiczna, raz bardziej liryczna, jest to naturalny, bardzo wolny proces.

JSG: Jak Panu się pracuje z młodymi muzykami, którzy są w Pana zespole?

TS: Wiek nie ma tu żadnego znaczenia, oni są po prostu mistrzami. Marcin, to wyjątkowej klasy pianista, ma taką słodycz w sobie i przystępność, którą niewielu artystów posiadło. Zresztą wszyscy są doskonale dobrani. Sławek na basie jest stabilny, jak mało kto, Michał na perkusji gra bardzo nowatorsko. Precyzyjnie dobieram członków zespołu, bo jeśli ktoś jest trochę gorszy, to podczas grania czuje się do niego wręcz nienawiść za to, że psuje grę. Po koncercie może to minąć, ale w trakcie wzbierają nieprawdopodobne emocje.

JSG: Jak przebiega komunikacja z członkami zespołu podczas koncertu?

TS: Odbywa się ona raczej automatycznie i wynika z naszej techniki. Precyzyjnie wiemy w jakim miejscu w danej chwili jest każdy z nas, a przy bardziej skomplikowanych strukturach

musimy się na tyle czuć, żeby w odpowiednim momencie nieomylnie się spotkać.

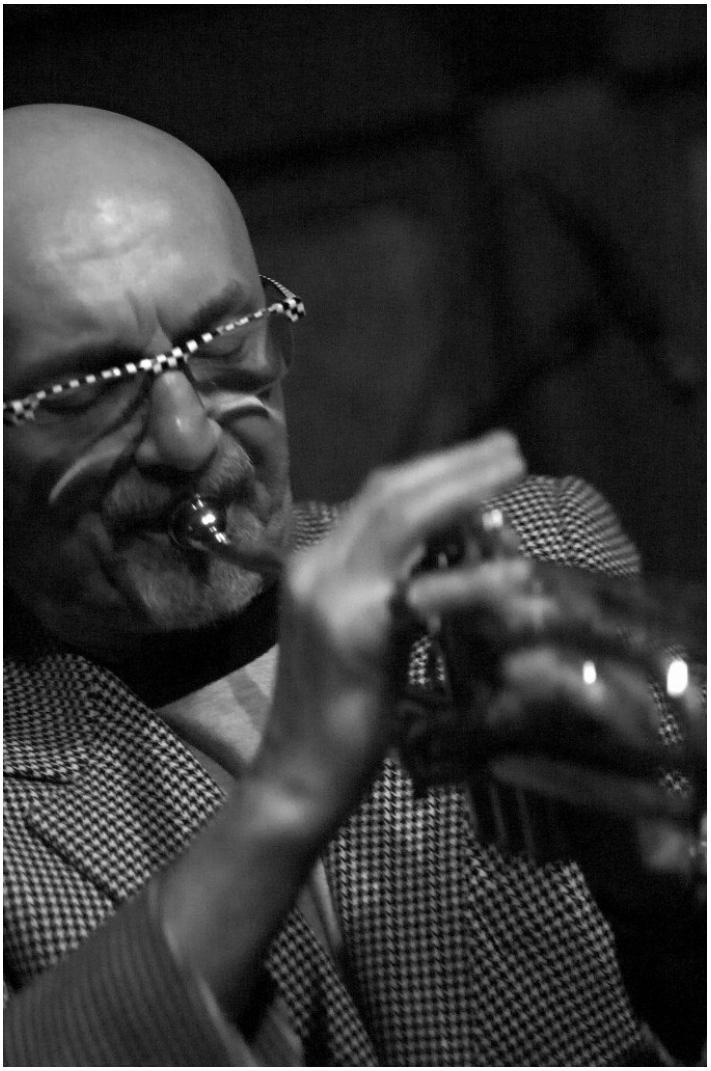
JSG: Czy według Pana można mówić o polskim jazzie w szerszym znaczeniu?

TS: Z rezerwą podchodzę do terminu „polish jazz” i myślę, że jest to za dużo powiedziane. Za mało nas jest, żeby mówić o polskim jazzie, tak samo jak jest nas za mało, żeby mówić o muzyce poważnej. Był taki okres eksplozji, pojawiło się paru wielkich, silnych, kreatywnych muzyków, ale ten okres minął. Tak samo słaby jest dzisiaj film, a silna sztuka wizualna. Tak więc to jest przypadek, czy się w danym okresie urodziło paru silnych artystów. My w zasadzie jesteśmy bardzo młodym narodem i dopiero w ostatnim stuleciu zaczyna nasza sztuka eksplodować. Nie trzeba się tego wstydzić, nikt się swojej młodości nie wstydzi. Raczej odwrotnie, przed nami jest przyszłość, mamy w sobie świeżość i pewną siłę. Naszą historią rządzą kompleksy, choć obserwując młode pokolenie widać, że wchodzą w życie bez kompleksów. Może tak działa czas, często nie zdajemy sobie sprawy z siły czasu. Trzeba więc korzystać z dobrodziejstw czasu, a nie martwić się tym, w jakim jest się czasowym momencie.

JSG: A czy np. na eksplozję „polish jazz” czy rozwój polskiej szkoły filmowej nie miała wpływu cenzura w okresie komunizmu

i wrastająca z wielką siłą aktywność twórców, aby tę cenzurę ominąć?

TS: To nie komunistyczny rząd miał tu udział, tylko to, że było trudno. Dla nas jazz był synonimem wolności, mogliśmy wyjeżdżać za granicę, mieliśmy kontakty. Komunizm przez swoje zamknięcie miał filtr. Nie mieliśmy wówczas artystycznego śmietnika, wydawane były najlepsze rzeczy z literatury światowej. To nie był tylko aspekt wolności, ale i aspekt finansowy, nie było pieniędzy na wydawanie złych rzeczy, nie rządził rynek. Ale ja bym tu nie przypisywał zasług systemowi, tylko – takie jest życie. Powinniśmy o tym wiedzieć, że nigdy nie ma rzeczy, które są trudne, że nigdy w życiu człowiekowi nic nie powinno przeszkadzać, bo zawsze przeszkodę można wykorzystać na swoją korzyść. To jest ogólne prawo, które panuje w życiu.



Tomasz Stańko, fot. Jacek Gwizdka



Tomasz Stańko, fot. Jacek Gwizdka

JSG: Czy w muzyce bliższa jest Panu tradycja czy eksperyment?

TS: Pociąga mnie nowoczesność i eksperyment, przy jednoczesnym silnym związku z tradycją. Nie czuję natomiast związku z tym co jest pomiędzy tradycją i eksperymentem. Moja twórczość jest wypadkową dwóch biegunów. Niewątpliwie mam dużo wspólnego z melancholią w muzyce Chopina, melodyką Moniuszki, nastrojem Karłowicza, czy Szymanowskiego. Ale ja bym tego nie łączył z ludźmi, losem czy historią, tylko ze światłem z jakim się codziennie budzimy. Światło działa na nas

niewiarygodnie. Muzyka reggae jest muzyką słoneczną, tak samo jak jazz stworzony jest przez czarnych, czyli ludzi, którzy wyrośli w specyficznym, południowym świetle. I to się czuje. Natomiast kolorystyka Muncha i jego ekspresja, czy muzyka Griega związane są z norweskim, ostrym północnym światłem. I to też się czuje. Według mnie to właśnie światło, dokładnie takie jakie jest w miejscu, gdzie się urodziliśmy, ma wpływ na naszą twórczość. Ja na pewno czerpię ze światła z mojej ulicy, tam gdzie się urodziłem. To wystarczy pierwsze parę lat. Rubinstein mówił, że jest Polakiem, bo urodził się w Łodzi i mieszkał do 7 roku życia. Wychowywał się na łódzkim podwórku, a te pierwsze lata kształtują człowieka. Potem uważał się za obywatela świata, ale światu prezentował naszą słowiańską szkołę gry na instrumencie.

JSG: Co spowodowało, że zainteresował się Pan twórczością Witkacego, (czego owocem była płyta „Peyotl").

TS: Interesowałem się jego osobą, jego walką z sobą. Najbardziej na mnie działają jego fotografie i portrety. To co mnie fascynuje w jego sztuce to paradoksy.

JSG: Czy dla Pana improwizacja, to też swoisty paradoks?

TS: Kocham improwizację, właśnie za jej nieprzewidywalność. Improwizacja – czyli korzystanie z błędów jest procesem

zbliżonym do ewolucji. Wszystko na świecie się zmienia i posuwa bezwładnym ruchem pozbawionym logiki. Mozart też improwizował, gdy napisał nutę nie mieszczącą się w ówczesnym systemie reguł, nie poprawiał, tylko uzasadniał ją w następnym takcie. Dzięki temu jego muzyka miała świeżość i była odkrywcza.

JSG: Czyli dopiero *post factum* można wyodrębnić i opisać system, w momencie gdy on powstaje, jest niezauważalny.

TS: Sztuka to zjawisko, którego nie ma w przyrodzie. Fala sztuki oparta na skojarzeniach, nie występowała wcześniej i nie stworzyła jej natura. Nie ma w niej naturalnej logiki, jest inna logika, stworzona przez człowieka. Świat się zmienia, materia cały czas się przerabia. Jakaś niewyobrażalna siła od jednego atomu stworzyła nas, stworzyła życie i to życie cały czas się przetwarza w pozornie nielogiczne formy, takie których nie było przedtem w fizyce, w kosmosie i dalej wszystko się poszerza, zmienia się, robi się bogatsze.

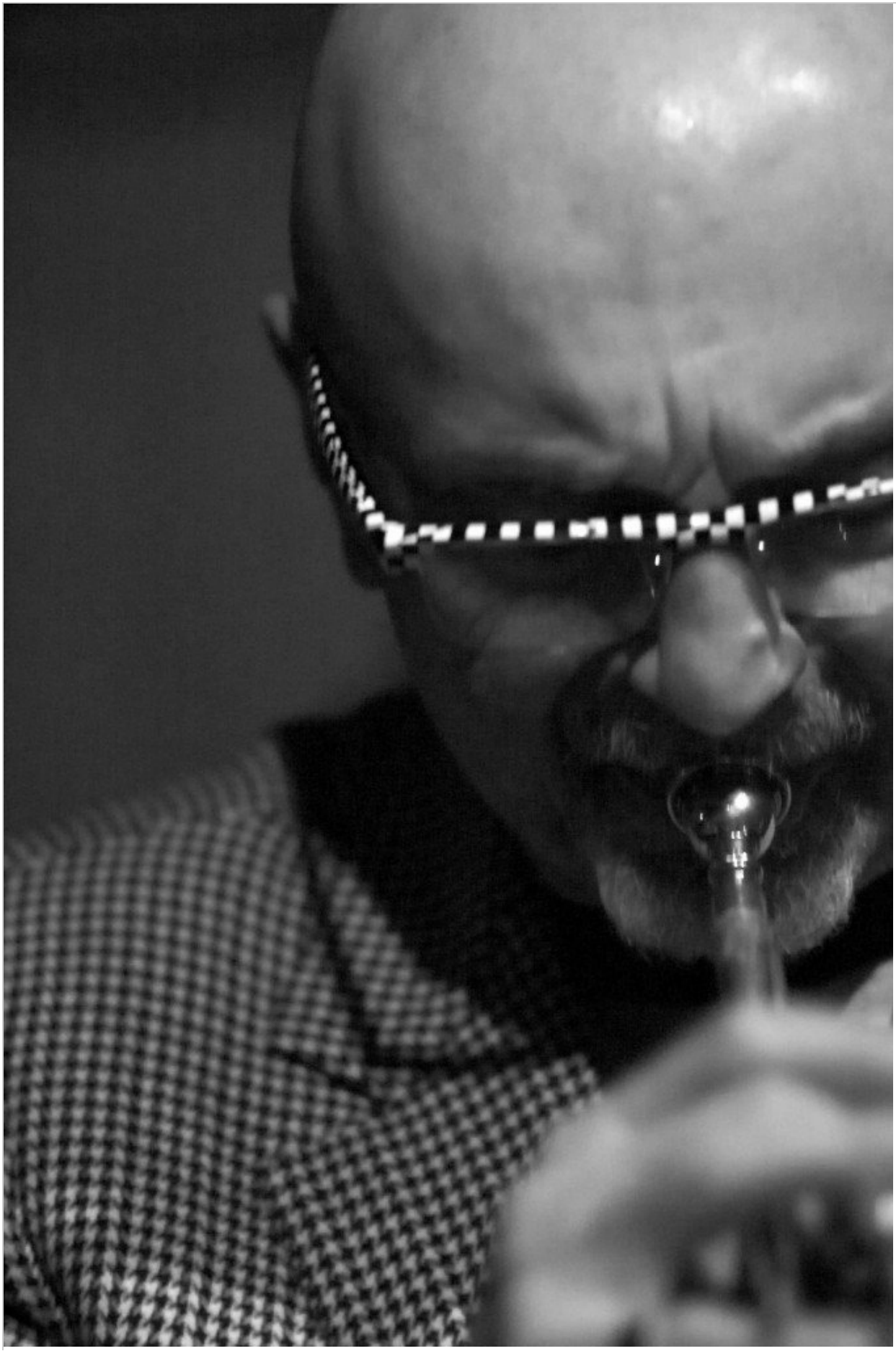
JSG: Co najbardziej ceni Pan w sztuce?

TS: Najważniejsza jest siła ducha, to, co ma się w środku i to co tak na prawdę się przekazuje. Nie jest ważne jaki to jest obraz, utwór muzyczny czy literacki, lecz to, czym on emanuje. Każdy, kto ma trochę talentu może siąść i namalować to, co widzi, ale

talent to jest mało, ważniejsze są inne rzeczy – siła przetrwania i to coś, co właściwie jest tajemnicą.

JSG: Jaki wpływ na Pana twórczość mają inne dziedziny sztuk?

TS: Jestem związany zarówno ze sztuką wizualną, jak i z literaturą, a tak na prawdę żyję sztuką całe życie. Idąc do muzeum długo obcuję z eksponatami i staram się pogłębiać wiedzę na ich temat. Wyraźnie czuję duchowe podobieństwo narracji np. Johna Coltrane'a do narracji Williama Faulknera. Lubię czytać Faulknera, myślę, że jazzowa narracja z tym swoim pozornym bezładem jest taka właśnie faulknerowska. Nie ma w tym nic dziwnego, bo i jazz i utwory Faulknera powstały na tym samym kontynencie. Amerykański pisarz wyraźnie używał narracji czarnego slangu – cofał trochę zdania, powtarzał sens, przez powtarzanie umacniał jakąś kwestię i podkreślał ją. Ja też czerpię ze sztuki i z tego, jak ją przeżywam. Patrząc na obrazy Paula Cezanne'a w MoMA w Nowym Jorku pomyślałem sobie, że chyba miało to znaczenie, że nagrywałem album „Lontano" w Prowansji. W młodości kochałem malarstwo Cezanne'a, a Prowansja to są jego strony, patrzył na te same góry, na ten sam krajobraz, a przede wszystkim działało na niego to samo światło. Na pewno ma na nas wpływ to, co głęboko przeżywamy, wszystko się gdzieś w środku kumuluje.



Tomasz Stańko, fot. Jacek Gwizdka

Rozmowa przeprowadzona w Nowym Jorku 28 października 2006 podczas trasy koncertowej Tomasza Stańki wraz z Kwartetem po Ameryce Północnej, promującej album płytowy „Lontano”, nagrany dla wytwórni płytowej ECM. Skład Kwartetu: Tomasz Stańko – trąbka, Marcin Wasilewski – fortepian, Sławomir Kurkiewicz – kontrabas, Michał Miśkiewicz – perkusja. Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim” – dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika” z Nowego Jorku w listopadzie 2006 r.